

# Przegląd



Na gałązce drzewa  
ptaszek ślicznie śpiewa,  
a w komunistycznym raju  
człek się byczo miewa.

## „SZARE PANOWIE“.

*Lwowskim orłotom.*

Na Personkówce lub w Stryjskim parku,  
Na placu Bema, Zamarstynowie,  
My bezimienne szare panowie,  
Życie ci dali, Polsko, w podarkul

Na Cytadeli armata stara,  
A w rękę werndel sznurkiem związany,  
Na dorożkarskich szkapach ułany: —  
Taka ci była morowa wiara!.

Z lat sześćdziesiątych trzecich powstaniec  
Grał na „maszynce“ nam na rozgrzewkę;  
Grześ z Łyczakowa sprowadził Stefkę,  
Bo raźniej z „brzań“ bronić jest szaniec.

I z pod Brzuchowic mały chłopczyna,  
Ledwo zrachować umiał do pięci,  
Z ojcowską flintą wśród nas się kręcił,  
W łeb za dnia wałąc wrażego syna.

Zaś komendantem był na odcinku  
Kapral, co zmierzył kiedyś Karpaty  
I pod Rarańczą zbierał swe gnaty,  
Gdy moch mu zmieszał wszystkie w ordynku.

Aleśmy przecie prali bez dechu,  
Aż pot się zwarzył z krwią nam na twarzy  
I stary werndel po łapach parzył,  
I w piersiach grało, jak w zdartym miechu!

\*

\*

\*

A jednak naszym zostałeś Lwowie,  
Wolność kupili Twą w krwawej męce  
Na szanicach Twoich my bezimienne,  
My lwowscy strzelce — szare panowie! —

*Jan Ruff.*

## WY WSZYSCY, COŚCIE LEGLI...

Wy wszyscy, coście legli w skrwawionej transzei,  
bez szarży legli, czekać na dzień zmartwychwstania —  
żegnajcie! Polska oto w pas wam dziś się kłania,  
żeście bez słowa na śmierć tak szli pokolei.

Konaliście bez słowa, lecz nie bez nadziei,  
że z tej krwi nam Ojczyzna wolna się wysnuje;  
dziś już żadnego więcej kozak nie stratuje,  
wstała Polska! wśród strasznej dziejowej zawiei.

Hen, rozrzucone groby po całej Ojczyźnie  
powiedzą wasze czyny. Z waszej krwi się snuje  
legenda, co brzmieć będzie w setne pokolenia.

Za sny ojców rycernych, wydarte siwiznie,  
za waszą krew, śmierć waszą, za wasze cierpienia —  
dziś potężna i silna Polska wam dziękuje.

## DŁUG NIEZAPOMNIANY.

A więc zapomnieliście, że tam, za Karwiną,  
w Jabłonkowie, Fryszlacie, że tam poza Spiszem,  
rodak śląski, któremu madrygały piszę,  
próżno oczy obraca za rodną dziedziną?

A więc zapomnieliście, pijąc chwały wino,  
zajęci układami z moskiewską sowdepją,  
jak tam na śląsku czesi swoje prawa szczepią:  
jak tam polacy w jarzmie braci słowian giną?

A więc zapomnieliśmy, iż krwi śląskiej piany  
stopiły się już dawno w świetny rubin krwawy,  
iż tam górnik w szalonej rozpaczycy drze szaty?

— Nie! nie zapomnieliśmy, że czas dziś w miecz  
rdzawy  
zakłąć wszystką tęsknotę zemsty i ból krwawy  
i wszystek polskiej duszy dług niezapomniany.

*Zygmunt Zaleski.*



Choć-em polak z duszy, ciała,  
matką jest mi ta Ruś Biała.  
Swojak jestem na wsi, w mieście,  
więc mnie prosto drogą wieźcie.

## ODEZWA NIEMIECKIEGO KOMITETU KATOWANIA ŚLĄSKA.

### NIEMCY!

Zbliża się chwila stanowcza! Wrogowie Niemiec chcą Germanji zadać straszny cios w samo serce.

Śląsk Górny, który od wieków trzymały z całym siłą niemieckie ręce; kraj, stanowiący naszą bezsporną własność, jako że zastawili go po pijanemu potomkowie Władysława II u następców Fryderyka Barbarossy, gdy zgrali się w brydża i nie mieli gotówki na zapłacenie karty w klubie; kraj, który zatem stał się fantem niewykupionym, bo Piastowicze nawet procentów nie płacili, choć nasi wspaniałomyślni książęta liczyli im zaledwie 25% tygodniowo od pożyczonej sumy — jest i pozostać musi naszą niewątpliwą, prawą, świętą własnością.

Niemcy!

Polacy nazywają Śląsk ziemią Piastowską.

Tak! Ale nie dodają, że Piastowie śląscy, pochodząc od Agnieszki, córki Leopolda austriackiego, przyglęli całą duszą do narodowości niemieckiej, co im przyszło tem łatwiej, że — jak stwierdzają kronikarze — owa Agnieszka była osobą wolnomyślną, dobrego serca, a pamięć miała tak krótką, że zapominała się nieraz z własnymi forysiami i plasznikami z Tyrolu.

Czyż to nie daje nam podstawy do twierdzenia, iż, poczynawszy od XII wieku, Piastowie śląscy raczej tyrolczykami byli, niż polakami?

Czyż to nie powinno wznieść w każdym szczerym niemcu gorącej chęci do bronienia tej tak krwawo, tak uczciwie zdobytej przez nas ziemi?

Niemcy!

Polacy rozgłaszają po świecie, że lud na Śląsku Górnym jest polski. Tak, lud jest polski, ale węgiel jest niemiecki! A czyż my zatrzymujemy ten lud na Śląsku?

Broń Boże! niech sobie stąd idzie precz!

Wszystkim polakom, którzy w swej przewrotności, mieli śmiałość urodzić się na Śląsku, gotowiśmy przepustki darmo dać, choćby do nieba, pobierając tylko coś niecoś za entlausungszajny.

A więc każdy, komu niemieckie bije serce pod ciepłą, włóczkową kamizelką (za takie kamizelki teraz w Polsce po 1000 marek płać).. kto po niemiecku myśli, po niemiecku czuje — niech spieszy ratować zagrożoną prowincję.

Niemcy!

Oto zbliża się dzień sądu — dzień plebiscytu.

Wszyscy na Śląsk!

Głosować!

Niema niemca, któryby nie mógł dowieść, że ktoś z jego przodków był bodaj dwa dni we Wrocławiu lub Katowicach. A to wystarczy powinno naszym komisjom dla danja mu dokumentu, że jest rodowitym ślązakiem. Przedewszystkiem zaś niech jada tam wszystkie Schlesigery, Schlesingery, Breslaueri i t.p., noszący nazwiska, wyraźnie wskazujące bezspornie śląski rodowód. Niech jada ci, których choćby przejazdem w wagonie, matki urodziły na stacjach i przystankach kolei śląskich. Niech jada ci, którzy ziemię tę dobrze znają choćby tylko z mapy.

Wszyscy na Śląsk!

Wszystycyśmy dziś ślązacy! I wszyscy też mamy prawo stanąć do urn plebiscytowych w obronie naszej świętej sprawy.

Śląsk musi niemieckim być.

Gott mit uns!

Niemiecki centralny komitet  
ratowania Śląska Górnego.

P R Z Y S P I E W K A.

Kciało sie wojocki  
Naści dolę w zysku:  
Tyla co na plecach,  
Tyla coś miał w pysku.

Skończona kaljera,  
Zakończona praca:  
Bez cholerny pokój  
Bażant do dom wraca.

Bandzie ci się znowuj  
Kiele gumien porać:  
Świnie gonić z śkodów,  
Od świtania orać.

Weźnie srodze w mordę  
Lub kłonicą lepiej,  
Kiej którą uszczypnie  
Lub szczyptę poklepie.

Oj, bidna sirota  
Siądzie se pod płotem,  
I nieraz w załości  
Myśleć bandzie o tem:

Jako miał srebrzysty  
Z wężykami kołnierz,  
Świat mu bił pokłony,  
Jako że był żołnierz.

Oj, bandzie wspominał  
I srodze się żalił,  
Jako tyfusowe  
Papirusy palił.

Siedział se jak sołtys  
W morowym okopie:  
Całkiem nic nie robis,  
Jeno strzyłos, chłopiel

Casem, jak bolsiewik  
Z rury na cię dmuchnie,  
Djabli biorą okop,  
Abo gorzy — kuchnię!

Casem ci somsiadów  
Siłę zmiecie wkoło,  
Tedy ci przestrono,  
Luźno i wesoło.

To ci srogi zbrodzień,  
Choć go w dyby okuj,  
Kto przemyślił we łbie  
Z bolsiewikiem pokój.

Jedna się nadzieja  
Ta uśmiecha zgoła'  
Że może mnie jeszcze  
Potrzeba zawoła.

Że może raz jeszcze  
Do wojska zabierą,  
I kaprał mi znowuj  
Krzyknie: — stój, cholero!

I do paki choćby  
Razik mnie zawiodom:  
Tera zaś, jak głupi,  
Wracać musę do dom!

Francesco.

P I O S E N K I Ł A Z I K A.

(Na nutę: „Nie masz nad żołnierza szczęśliwego człeka“).

Nie masz nad polaka  
Szczęśliwego człeka,  
Może nic nie robić—  
Gotówka go czeka.  
Sprzeda stary surdut  
Za em tysiąc trzysta  
Kupi „miljonówkę”  
No i sobie śwista.

Nie boi się krzywdy  
Polak, bo ma Dziadka  
Co sprat bolszom skórę,  
Galanto, jak z płatka.  
Dziś się Lenin w Moskwie  
Wije jak ta glista —  
Polak wraca z wojny  
Ino sobie śwista.

Chciał nas Litwin okraść,  
Aż tu dłonią silną  
Pchnął go Żeligowski  
I odebrał Wilno.  
Bo że Wilno polskie  
To jest sprawa czysta  
Darmo Kowniarz wrzeszczy—  
Polak tylko śwista.

Demobilizacja!  
Broń składa świat cały,  
Tylko się panienki  
Nie wszystkie poddały,  
Ale Łazik wszystkie  
To rzecz oczywista  
Zdemobilizuje,  
A potem zaśwista.

Z P R Z Y Z W Y C Z A J E N I A.



Ochotnik w sierpniu — po mobilizacji.



Ochotnik w listopadzie — po demobilizacji.

## CO MOWI ŁAZIK?

Miałem się przespacerować na Śląsk, ale po drodze z republiki sowdepskiej wdepnąłem na moment do Wilna i strasznie mi się tu spodobało. Naród przy-



ścipny, śpiewający, jak te kogutki gliniane, a na każdego polskiego żołnierza, jak na brata rodzonego patrzący. Ledwo wejdziesz, witają, częstują wypytują...

Najgorsze, że sami niewiele do jedzenia mają.

Boto najpierw, jak jeszcze one „nasze”, niby carskie Wańki, bohatersko przedszwabami nura dawały, ra-

bowwały, co się dało, żeby nic „germańcom nie odstawić”. Przyszły szwaby — i znów wzięli łupić, ino teraz już porządnie, do gruntu z befelem w garści. Robili ci grande na hura, bo się bestyjstwu żreć chciało, a z własnego faterlandu dostawali tylko gazy trujące, z których nawet sam Nelson marnych kłusków by nie zrobił.

Wzięli tedy psy po ulicach łapać i na kotlety siekać, koty na gęsie wątróbki łowić, wszystkie wrona brzegach Wilenki wystrzelali, a jakiś profesor gastrologji napisał trzytomową książkę, jak młode wro-

nięta na kwiczoły przyprawiać i jak ze starych chudych wron pulchne pulardy gotować.

To kiedy ta szarańcza szwabska odeszła, całe Wilno odetchnęło. Ale cóż, dychnęło raz, drugi, a tu już masz nową biedę: bolszewiki przyszli. Jak zaczęli raj robić, tak pół miasta prosto do raju poszło, a druga połowa nieboszczyka Adamową modą półnago po mieście wzięta paradować, bo jej krasnoarmejce kapoty z grzbietów pozdzierali.

Teraz znowuj litwiny do miasta się dobierają i krzyczą na cały świat, że Wilno im się należy, bo je kiedyś, kiedyś jakiś ich książę zbudował. Ja tam przy tem nie byłem, jak Wilno budowano, ale rozglądam się prawem okiem, rozglądam się lewym okiem, a jakoś tu dzisiaj żadnych litwinów nie widzę. Nalazłem wprawdzie kilkanaście tercjarek, co, doczekawszy w panińskim staniku sędziwych latek, kochają się w jednym litewskim wikarym i bez to do Litwy ciągoty mają — ale chyba na ich zawołanie Anglja na Wilję swoich krążowników nie pośle.

Widziałem także kilku prezesów klubu litewskiego, ale na dziesięciu jeden tylko po litewsku trochę gada, a reszta umie ledwie „ne supranto” (co znaczy po naszymu: nie rozumiem) powiedzieć. Ale najlepszy jest facet, com go niedawno spotkał. Jak byli moskale, nazywał się Jakowlew; przyszli niemcy, przerobił się na Jakobsohna; za rządów polskich — był Jakubowskim; za bolszewików — Jankielewem, a za litewskich czasów — Jakubajtisem.

Teraz chciałby znów zmienić „familję”, ale nie wie, czy mu pasuje poprostemu Jakowlukiem się przezwać, a na Jakubowskiego wrócić nie może, bo go pod tym paszportem kryminały szukają. Więc biedak woli trwać przy swoim Jakubajtisie i u litwinów ratunku szuka.

Ale kiedy go przyszli pytać, jakiej jest narodowości, to pokazało się, że po litewsku ani be, ani me i nareszcie po polsku wyśpiewał, że mu wszystko jedno, bo on jest tutejszy i więcej nic nie wie.

Takich to właśnie rodowitych litwinów ma Litwa w Wilnie, a Matka Boska Ostrbramska patrzy na jeich brewerje do czasu spokojnie; ale jak się którego dnia rozgniewa, to wszystkim tym odmieńcom be-bechy flakami do góry podwraca i wtedy pokaże się, że od wnętrza kaźden wilnianin polak jest i ko- niec.

### W SĄDZIE.

- Kocmołuch Agata!
- Jezdem.
- Jesteś pani oskarżona o podrapanie do krwi własnego męża. Czy pani nie wiesz, że mąż, to głowa twoja?
- Ady, wielebny sędzio, czy to mi się we własną głowę podrapać nie wolno?

### DOSTAŁA.

Widziałam wczoraj kochaną panią w ogonku. co pani?  
— A dostałam, dostałam!... kataru.

### MIEDZY BOLSZEWIKAMI.

- Nu, co, mamy nareszcie pokój.
- A, tak, z polskiem obiciem.

### NUDY.

- Co robiłeś wczoraj po południu, bo jak słyszę, dostałeś z koszar przepustkę.
- Byłem z Mańką i Zośką w kinie.
- Dobrze się bawiłeś?
- Marnie, powiadam ci, odżałować nie mogę, że tam poszedłem. W oświetleniu coś się popsulo i na sali nawet podczas pokazywania obrazów cięgiem było jasno.

## Z R O Z M O W T E L E F O N E R A .

Pewnego dnia przychodzi do kawiarni na Gęsia Telefoner wielce zasmucony i wzburzony.

— Co tobie jest? — pyta go przyjaciel Kurcswanc.

— Co mnie ma bicz. Ty wiesz, co umarł Abram Pipek?

— Co, Abram umarł? Taki zdrow człowiek! Co jemu sze stało?

— Ty sobie wioobraż, co on umarł od doktora?

— Od doktora? Co ty cosz gadasz!

— Posłuchaj. Tera je wielkie drożyzne na papier, to doktor y u n i chcom zaozczędzić na papier od pisanie recepte. Uni bierą stare papiery z róż-

nym zaproszeniem na szlub, na pogrzeb, na chszczyzny i na druge strone piszę recepte.

Pipek bił chory trochę na wątrobe. Un idże do doktora i ten mu napisał recepte na takie używane zaproszenie. Un wzion recepte: czyta. „Codzennie dwie łyżki rano... Pogrzeb jutro o 3 popołudniu”.

To jemu wistarczyło na jego delikatne serce, żeby na miejscu umrzeć.

Czasami jednak błogosławi Telefoner lekarzy. Zdarzyło się, że raz po rybie rodzina zaniemogła. Telefoner zadecydował, że trzeba posłać do „analizy”.

Dla oszczędności zmieszał wszystko do jednej butelki.

Analiza nic nie wykazała.

— Uj, co za szczęście, Salcia — mówi Telefoner — nikt nie potrzebuje wyjechać na kuracje.

Kurcswanc, ja mam dla ciebie zagadke. Ty powiedz mnie, jaka jest różnice między weksel a kubyte?

— Czy ja wim.

— Ja tobie powim. Weksel to sobie chodzi, chodzi po cały szwiat i wróczy do wystawcy z podpisami wszystkich żyrantów. Kubyte to tyż obejdzę cały szwiat i tyż wróczy do ciebie, tylko żadnego żyranta to ty nie widzysz.

Raz Telefoner zrobił malwersację na 200,000 marek. Po różnych staraniach za kaucją puszczono

go na wolność. Przed sprawą idzie do adwokata, żeby go obronił.

Adwokat wysłuchał całej spraw i powiada: Przyznaj mi się pan, czyś pan rzeczywiście ukradł te pieniądze. Jest mi to potrzebne do obrony.

— Że ja ukradłem, to mogę powiedzieć panu adwokatowi; ale, gdzie ja schowałem te pieniądze, to ni ma głupich...

Czytałeś Telefoner — mówi Kurcswanc — w „Łaziku” napisali jak ty przygotowałeś żonę sierżanta na śmierć męża.

— Co ty mówisz. Ja tobie powiem lepszy kawał. Raz u nas umarł w dywyzjonie jeden kapral Wądolek.

Mnie mówią, coby delikatnie telegrafowacz do rodziny. Ostrożnie: krótko.

To ja wysłałem takie depesze:

— Wądolek sze trochę przeżębył.

Jutro pogrzeb.

— Co, ja mam łeb?

— Telefoner, dlaczego już nie jesteś ordynansem u porucznika?

— Dlaczego? Un jest zwyczajny, arogancki człowiek.

Raz un miał jechacz o piątej rano służbowo do Warszawy. O godzinie czwartej ja jemu szturcham w bok i wołam: panie poruczniku! — Un sze zerwał i pita: Co jest? To ja jemu mówię: Nic sze nie stało, tylko niech sze pan porucznik wyszpi, bo za godzinie trzeba jechacz.

To co ty powiesz? Un mnie dał w łeb i wyrzucił nazad do tabory. I rób tu komu dobrze.

Podczas zajęć w szkole dla analfabetów w dywyzjonie, nauczyciel pyta Telefonera?

— Powiedz mi co to jest jajko?

— Jajko to jest rzeczownik.

— No dobrze, a jakiego rodzaju?

— Psiepraszam panie plutonowy. A jak kubyte ma miecz dżeczko to pan wiesz jakiego uno będzie rodzaju?

To z jajkiem tak samo.

— Wiobraż sobie, Kurcswanc, moje hystorje. Jadę niedawno w nocy z tabory przez las. Woźnica tyż był starozakonny.

Naraz z za krzaki w sam srodek las wiskakuje dwanaszcze wilki.

— To nie może bicz.

— No dwanaszcze, to mnie sze pomilało. Ale dżeszecz buło. Uni szadły na tylne łapki i mówią do nas „pi, pi, pi”.

— To przecież myszy był!

— No a dżeszecz miszy na dwa żydki o mało?

M A D E L O N

(Dalszy ciąg)

Po miesiącu cały front znał Madelon. Gdzie tylko mignęła jej czerwona spódniczka, gdzie zaturkotał jej wózek, tam był zawsze ścisk i śmiechy.

W pochodzie, czy na postoju, w chłodne noce jesienne, czy w letnie jasne wieczory Madelon żartuje, kręci się, jak fryga, a na wszystko odpowiedź znajdzie, że boki zrywać.

— Madelon! — woła któryś urwis — co tam można u ciebie dostać?

— Wszystko.

— A buzi?

— Także.

— To daj.

— Ano, pocałuj moją szkapę w nos.

— Głupia jesteś! — woła rozgniewany frant.

— To odsuń się — mówi spokojnie Madelon — bo możesz się zarazić.

Naturalnie, wszyscy w śmiech.

A niech się bitwa rozhula, Madelon na tyłach usiedzieć nie może. Wózek pod czyjąbądź opieką zostawi i rwie do chłopców na pozycje. Wnet jej czerwona kiecka to tu, to owdzie miga. Pocziwe dziewczynisko jednemu szklanek wina poda, drugiemu papierosa do gęby wetknie, innemu skrwawioną łapę bandażem okręci... Skończy się bitwa — obchodzi pole z sanitariuszami i pilnuje, żeby o jakim ranym nie zapomnieli.

Z czasem to się i do prawdziwej żołnierskiej roboty Madelon włożyła. Najdzie se gdzie karabinek, ułoży się w rowku i grzmoci. A co szwaba którego uprzątnie, pobożnie westchnie za jego duszę, że niby co

się ma w piekle mordować, kiedy już tu nikomu, świętuch, w szkodę nie lezie.

Kochał też Madelonkę cały pułk — a kilkunastu chłopców kochało się w niej na zabój. Ale niezdo-byta była, jak twierdza Belforcka. Gdy który zanadto sobie pozwolił — wnet ze spuchniętą jak dynia gębą chodził po obozie. A koledzy śmieli się.

Pewnego razu zniknęła Madelon z pułku. Jak-by kamień w wodę... Rwetes ci się straszny zrobił wśród wiary. Ślady wskazywały, że wraz z wózkiem, wysunęła się poza linię frontu i wpadła z całą swą kantynką, pełną czekolady, papierosów, mydła i innych różności, w pazury szwabom.

Biedna Madelon, opadnięta niespodzianie przez dwu prusaków w pikelhaubach, straciła na krótką chwilę rezon, ale wnet oprzytomniała.

— Ciekawość, co te mordy myślą ze mną zrobić? — myślała, patrząc na niemców, łakomie opróżniających jej małą kantynkę.

Dziewczyna ręce miała związane i nie mogła sobie nawet poprawić warkocza, co jej na plecy opadł. A tymczasem żołnierze chwilę pogadali ze sobą, następnie pomogli Madelon wgramolić się na wózek, sami siedli po obu jej stronach, a starszy, z sumiastemi wąsami i małemi od piwa oczkami, ujął cugle i popędził konika.

Niebawem zatrzymali się przed domem, którego połowa leżała w gruzach, a nad oknami drugiej połowy wisiał szyld z jakimś napisem niemieckim.

(Dok. n.)

UKRAINIEC.

— Słyszałeś? „Hromadska Dumka” donosi, iż Budiennyj ogłosił się ukraińcem.

— Co mu szkodzi? Jest dziś generałem międzynarodowego proletariatu, więc, jak zechce, do każdej narodowości należeć może.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pani Br. Piątek.... we Włocławku. Za życzliwe uwagi serdecznie dziękujemy. Będziemy się do nich ściśle stosowali, gdy tylko zaczniemy wydawać drugi tygodnik humorystyczny — dla pensjonarek i starych panien. Ale i w tym wypadku na współpracownictwo Sz. Pani nie reflektujemy; nie możemy bowiem drukować utworów osoby, która „wzrósza” ramionami przez ó, a „ochydy” pisze przez ch.

Za radę — rada: niech się „Stara Polka” przedewszystkiem nauczy pisać po polsku.

Fantazemu. „Słowik na drzewku, pełen słodczy, siedzi sobie i tak ryczy”...

Jest to najlepszy ustęp pańskiego sonetu. Tyle też tylko wydrukować możemy; ale honorarjum autorskiego po 10 marek od wiersza Pan nie dostanie.



— Jak panu dać proszek perski? W pudełku, czy w torebce?  
— Naco pudełko?... naco torebka?... syp pan od razu prosto za kołnierz.